

## **Agnieszka Kołakowska: Znów o liberalizmie**

Dla polskich konserwatystów większa troska o wspólnotę i wspólne dobro zdaje się pociągać za sobą większą rolę państwa. Nie musi i nie powinno tak być. Oddolnie budowane wspólnoty w krajach takich, jak Stany Zjednoczone, kwitną właśnie dzięki temu, że rola państwa jest ograniczona; swobody indywidualne są ich podstawą – pisze Agnieszka Kołakowska w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Wspólnota indywidualistów?

Wszyscy chyba, z ewentualnym wyjątkiem niemieckich filozofów, lubimy jasne pytania i jasne odpowiedzi; a skoro pytanie tu zadane – czy indywidualizm może być budulcem wspólnoty? – jest ważne, szczególnie ważne jest też, żeby odpowiedź na nie była jasna. Odpowiadam więc od razu i dobitnie: tak. Więcej – i to jest najważniejsze: wydaje mi się równie jasne, choć zabrzmiało paradoksalnie, że w dzisiejszych społeczeństwach żadnej innej drogi do budowania wspólnoty nie ma i być nie może.

Polscy konserwatyści lubią narzekać, że liberalni konserwatyści – czy klasyczni liberałowie, bo są to bardzo podobne stworzenia – nie są w ogóle konserwatystami: że są to po prostu liberałowie, z charakterystyczną dla liberałów obsesją indywidualizmu i pogardą czy lekceważeniem dla pojęcia wspólnoty. Liberałowie, według nich, skupiają się wyłącznie na prawach i swobodach jednostki i uważają, że dla dobrego państwa wystarczy, jeśli każdy będzie dbać tylko o interes

własny. Nie troszczą się o wspólne dobro, o wspólne tradycje i wspólną kulturę; dla nich państwo to tylko puste struktury, żadną treścią nie wypełnione. Wszelka treść byłaby sprzeczna z podstawową dla liberalizmu zasadą maksymalnej wolności jednostki. Nie interesują ich wartości, które – jak pisze redakcja we wstępie do tego tematu – „wykraczają poza wąski horyzont własnego interesu”; zakłada się, że interes własny musi z definicji mieć „wąski horyzont”. Nic zatem dziwnego, że liberalne demokracje są dziś w tak opłakanym stanie; nie mogło być inaczej. Tylko odejście od zasad liberalizmu, twierdzi polski konserwatysta, pozwoli zbudować dobre państwo, które będzie umiało krzewić i chronić wspólne wartości.

***Wszystkie plagi, na które narzekamy w liberalnych demokracjach, wszystkie nakazy i zakazy z ideologii politycznej poprawności zrodzone, płyną z nieliberalnych nastawień***

To prawda, że dla klasycznego liberała wolność jest wartością najważniejszą: wolność jednostki, wolność wypowiedzi, wolność religii, wolny rynek. Klasyczny liberał chce ograniczyć

ingerencję państwa w regulowaniu życia ekonomicznego i w sferze prywatnej, którą definiuje jak najszerzej. Wierzy w wolny rynek, w jak największą, nieskrępowaną indywidualną odpowiedzialność, przedsiębiorczość i swobodę zawierania kontraktów. Chce jak najmniej narzucać i jak najmniej zakazywać; chce zachować jak najszerzą przestrzeń wolności między tym, czego prawo zakazuje a tym, co narzuca. Wraz z wolnością jednostki za niezmiernie ważną zasadę uznaje równość wobec prawa.

Dlaczego wymieniam w szczególności polskich konserwatystów jako tych, którzy na liberałów narzekają? Po prostu dlatego, że w Europie Zachodniej, a zwłaszcza w anglosaskiej kulturze politycznej, w Anglii i w Ameryce, tych zwierząt, których istnieniu polski konserwatysta zaprzecza, to znaczy liberalnych konserwatystów, jest bardzo wiele. Stanowią oni wśród konserwatystów zdecydowaną większość. Polski konserwatysta jednak zaprzecza ich istnieniu, na tej samej zasadzie, na jakiej zaprzeczałby istnieniu jednoroźca albo różowego słonia. Choć – nie, istnienie jednoroźca albo różowego słonia już prędzej by przyznał; nie są to stworzenia niemożliwe, podczas gdy istnienie liberalnego konserwatysty jest dla niego prawie logiczną sprzecznością: coś takiego po prostu nie może istnieć. Polski konserwatysta sądzi na ogół, że między konserwatyzmem a liberalizmem – liberalizmem wszelkiego rodzaju – jest konflikt nie do pokonania. Nie jest to zaskakujące: w polskiej tradycji konserwatyzmu i kulturze politycznej zawsze był większy nacisk na wspólnotę niż na indywidualne swobody. W krajach anglosaskich oskarżenie kogoś o „noliberalizm” jest niemal obelgą; w Polsce nie ma złych skojarzeń z pojęciem neoliberalizmu. O wiele więcej można, rzecz jasna, powiedzieć o tych różnicach i ich źródłach; w tej chwili chodzi mi tylko o wyjaśnienie, skąd tu ci polscy konserwatyści i o podkreślenie, że liberalny konserwatysta jest stworzeniem jak najbardziej istniejącym w przyrodzie, przynajmniej zachodniej. Jest nawet łatwy do znalezienia, zwłaszcza w pejzażu anglosaskim; nie kryje się w zaroślach, nie chowa się w drzewach. Konserwatysta neoliberalny na zachodzie – owszem: jest płochliwy, unika światła dziennego i często się kamufluje. Jeśli, na przykład, ma wątpliwości co do zasady równości wobec prawa, albo wolnego rynku, albo co do tego, że każdy ma prawo swobodnie określać swój, jak to ujęli redaktorzy,

“rozwój, wizerunek i karierę” – innymi słowy, własne pojęcie szczęścia – albo nawet co do wolności jako wartości najwyższej, nie przyzna się do tego. Sytuacja wśród polskich konserwatystów jest wręcz odwrotna.

Na pozór rzeczywiście może wyglądać na to, że górująca nad wszystkim w myśli liberalnej zasada wolności indywidualnej kłóci się z pojęciem dobra wspólnego. Ale gdy się nad tym zastanowimy, szybko rodzi się masa pytań i wątpliwości. Rodzi się po części dlatego, że dziś wszyscy – z nieliberalnymi konserwatystami włącznie, choć pewnie by temu zaprzeczyli – patrzymy na świat liberalnymi oczyma. Innych nie mamy. Tak samo, jak – na przykład – słuchając dawnej muzyki kameralnej granej na dawnych instrumentach nie słyszymy naprawdę jej „autentyczności”: nie możemy słyszeć jej tak, jak była odbierana w siedemnastym czy osiemnastym wieku bo mamy dwudziestowieczne, nie siedemnastowieczne czy osiemnastowieczne uszy. Tak samo z liberalizmem. Liberalna demokracja jest w pewnym sensie naszym punktem wyjścia; nieliberalny i niedemokratyczny świat, świat, w którym jesteśmy pozbawieni głosu i w którym ktoś za nas decyduje, jak mamy żyć, w którym jakaś wyższa instancja podejmuje za nas decyzje i reguluje nasze życie według narzuconych z góry zasad – to nie jest czymś, co możemy sobie wyobrazić jako coś dobrego. Polski konserwatysta może ubolewać nad utratą tego świata, ale nie może tego stanu rzeczy zmienić; nie może też wymazać z historii Oświecenia i powrócić do świata bez uniwersalnych praw i religijnej tolerancji. Może skrycie (lub mniej skrycie) ubolewać nad tym, że nie ma powrotu do średniowiecza; może marzyć o świecie regulowanym, jak dawniej, przez Kościół, świecie, w którym każdy ma swoje niezmiennie miejsce i swój niezmienny status, w którym wielkiej ilości wyborów „życiowych”, swobód indywidualnych ani własnych dróg do szczęścia nie ma i w którym życie się toczy według ustalonego chrześcijańskiego kalendarza. Ale do tego świata nie ma powrotu. A taki właśnie świat

byłby chyba warunkiem budowania wspólnoty – wspólnoty osadzonej w jakiejś wizji wspólnego dobra – o który polskim konserwatystom chodzi.

W dzisiejszych zglobalizowanych, różnorodnych, wielokulturowych społeczeństwach (chodzi mi o wielokulturowość w sensie prawdziwym, to znaczy o społeczeństwa, w których współistnieją wiele różnych kultur i religii prócz głównej, nie o takie, które zmagają się za narzuconą ideologią multikulturalizmu, całkiem homogeniczną i wcale nie różnorodną), budowanie takiej wspólnoty na skalę państwa – wspólnoty z góry określonej (przez kogo?) jako krzewiącej takie a nie inne wartości – jest niemożliwe bez przymusu i odgórnego kontroli, która byłaby (w naszym liberalnym odczuciu) nie do przyjęcia. Nawet na małą skalę. Kibuce zbankrutowały; socjalizm poniósł klęskę. Nawet z „ludzką twarzą” jest nie do pomyślenia – zresztą, jak wiemy, z ludzką twarzą wprowadzić go się nie da. Słynna i tajemnicza „trzecia droga” też poniosła klęskę (trafnie ją ktoś określił jako coś pomiędzy Drugim Przyjściem a czwartym wymiarem.) Jedyne, co pozostaje, to oddolne budowanie wspólnot. Znamienne jest, że kraj, w którym takie wspólnoty kwitną, są Stany Zjednoczone – kraj, w którym indywidualna wolność i indywidualne swobody są podstawowymi, najważniejszymi wartościami (i w którym, nota bene, zasada, że religia należy do sfery prywatnej – że jest, jak powiedział Jefferson, sprawą między człowiekiem a Bogiem – jest niezmiernie ważna w konstytucji).

Warto też zauważyć, że gdy mówimy o tych sprawach, możemy mieć na myśli dwa różne konflikty: z jednej strony między jednostką a państwem, z drugiej – między jednostką a wspólnotą. Należy między nimi rozróżnić. Dla polskich konserwatystów większa troska o wspólnotę i wspólne dobro zdaje się pociągać za sobą – na pewno w praktyce, ale

być może także w teorii – większą rolę państwa. Nie musi i nie powinno tak być. Oddolnie budowane wspólnoty w krajach takich, jak Stany Zjednoczone, kwitną właśnie dzięki temu, że rola państwa jest ograniczona; swobody indywidualne są ich podstawą. Nie ma tu konfliktu. Przeciwnie: bez liberalnego państwa, które chroni swobody indywidualne, takie wspólnoty nie mogłyby istnieć.

Po wtóre, jedną z podstaw liberalnego państwa, które umożliwia powstawanie takich wspólnot, jest wolny rynek – innymi słowy, możliwość dbania o interes własny. Dbanie o interes własny nie jest równoznaczne z egoizmem; jest, przeciwnie, tym, co umożliwia dobre funkcjonowanie liberalnego państwa, w którym szanujemy umowy i kontrakty, dotrzymujemy obietnic, zachowujemy się zgodnie z zasadami prawa, ustanowionego właśnie dla wspólnego dobra. Nie kłóci się to z naszymi moralnymi zasadami czy obowiązkami (tak, jak Adama Smitha „Bogactwo narodów” nie kłóci się wcale, jak sądzą niektórzy, z jego „Teorią uczuć moralnych” – przeciwnie, są przekonujące argumenty, że te dwa dzieła się uzupełniają). Dbając o interes własny musimy szanować wolność i wybory innych; wiemy, że gdybyśmy dla siebie nawzajem takiego szacunku, osadzonego w prawie, nie mieli, dbanie o interes własny w ogóle nie byłoby możliwe. Nazywanie dbanie o interes własny egoizmem jest nieporozumieniem i wypaczeniem sensu tych słów.

Ta uwaga z kolei prowadzi mnie do uwagi o tolerancji i równości wobec prawa. Polscy konserwatyści narzekają – słusznie – na powszechne wśród lewicowych liberałów (choć trzeba podkreślić, że określenie to jest nietrafne, bo dziś nie są to wcale liberałowie, lecz skrajnie nieliberalni ideolodzy politycznej poprawności) umiłowanie do „tolerancji”. Czasem też narzekają – ale na ogół ciszej, pod nosem – na

zasadę równości wobec prawa, która według nich doprowadziła do wszystkich zeł, z jakimi nasze społeczeństwa się borykają. Ale te dwa narzekania są w istocie sprzeczne. To nie przestrzeganie lecz lekceważenie zasady równości wobec prawa do tych zeł doprowadziła. A prawdziwa tolerancja – nie tolerancja ideologów politycznej poprawności – jest niczym innym, jak właśnie przestrzeganiem zasady równości wobec prawa. Nie jest przyzwoleniem na odejście od tej zasady w kierunku polityki tożsamości grupowej, by przywilejować pewne grupy nad innymi. Nakaz tolerancji nie zmusza mnie do zgadzania się z czyimiś poglądami, ani do szacunku dla nich, ani tym bardziej do wywyższania ich nad innymi; prawdziwa tolerancja polega jedynie na uznaniu prawa każdego do własnych poglądów i do ich swobodnego wyrażania. Przestrzeganie równości wobec prawa nie zmusza mnie do przywilejowania, na przykład, kobiet na niekorzyść mężczyzn, „gejów” na niekorzyść heteroseksualistów, islamu na niekorzyść chrześcijaństwa; przeciwnie, nakazuje równe ich traktowanie.

Lecz ktoś może powiedzieć (i zapewne powie): no dobrze, ale jak, w obliczu naszych wielokulturowych społeczeństw, wobec napływu uchodźców, zwłaszcza z krajów muzułmańskich, wobec politycznych wpływów ideologów rozmaitych utopii, którzy chcą wyzwolić nas z ciężaru przeszłości i zbudować nowy wspaniały świat - jak dbać o przetrwanie w sferze publicznej, na skali państwa, naszych własnych wartości i tradycji, jeśli nie możemy prawnie ich chronić? Nie chcemy się zadowolić chronieniem ich w sferze prywatnej. Owszem, możemy odciąć się od polityki i życia publicznego i budować własne wspólnoty, ale nie możemy i nie chcielibyśmy odciąć się całkowicie; nie jest nam przecież obojętne, jak wygląda kraj, w którym żyjemy i do którego jesteśmy przywiązani. Nie jest nam obojętne, że kultura i tradycje, w których się wychowaliśmy, są niszczone i na każdym kroku

wyśmiewane i opluwane. Możemy kształcić nasze dzieci w domu albo w prywatnej szkole, która krzewi wartości, na których nam zależy, ale to nie wystarczy; chcemy czegoś więcej, i mamy prawo to coś więcej określić i wyrazić, i starać się o to. Tak więc mamy prawo chcieć, by nasz kraj wyglądał tak a nie inaczej; byśmy czuli się w nim w domu. Innymi słowy, jedną z kulturalno-politycznych wartości, które chcemy chronić, jest państwo narodowe, a wraz z nim pojęcie ojczyzny i patriotyzmu.

Trzeba tu bardzo mocno podkreślić, że liberał – jako liberał – wcale temu nie przeczy; nie ma nic w liberalnej myśli, co by potępiało przywiązanie do swojego kraju jako coś zdrożnego albo odrzucało pojęcie państwa narodowego. To, że te i podobne kwestie – kultura, tradycja, religia, wymiar metafizyczny ludzkiego życia – nie są i nie mogą być uwzględnione w prawych strukturach liberalnego państwa nie znaczy, że nie są istotne ani godne uwagi i troski. Nacisk na wolność jednostki nie jest równoznaczny z uznaniem tej jednostki za jedyną wartość, o którą należy się troszczyć. Zasady liberalizmu nie pociągają za sobą tezy, że każdy z nas jest szczelnie zamkniętą w swojej skorupie monadą i że „nie ma czegoś takiego, jak społeczeństwo”. Ani idea państwa narodowego, ani patriotyzm, ani przywiązanie do swojego kraju i jego specyficznych kulturalnych i politycznych tradycji nie kłóci się z żadną zasadą liberalizmu. Opłakany stan naszych dzisiejszych społeczeństw, nasza bezsilność w obliczu zagrożeń, nasza niemożność chronienia i krzewienia własnej kultury i tradycji i wartości, nie płynie, jak sądzą niektórzy polscy konserwatyści, z liberalizmu, lecz z wypaczenia jego zasad – w szczególności z lekceważenia zasady równości wobec prawa i zastąpienia jej polityką tożsamości grupowej.

Nie na liberalizm lecz na nieliberalizm powinni konserwatyści narzekać. Wszystkie plagi, na które narzekamy w liberalnych demokracjach, wszystkie nakazy i zakazy z ideologii politycznej poprawności zrodzone, płyną z nieliberalnych nastawień. Dzisiejszy podział jest nie między lewicą a prawicą, lecz między liberalizmem a nieliberalizmem: między tymi, na prawicy i na lewicy, którzy chcieliby prawnie, przez restrykcje i regulacje, przez nakazy i zakazy, przez politykę multikulturalizmu i tożsamości grupowej, słowem – przez ograniczanie wolności jednostki w imię wspólnego dobra, narzucić własną utopijną wizję świata, a tymi, na prawicy i na lewicy, którzy uznają wolność jednostki za najważniejszą wartość.

Więc jak, jeśli wspólnota może być budowana tylko oddolnie, chronić specyficzną kulturę i tradycję państwa narodowego chroniąc jednocześnie indywidualną wolność? Są dwa sposoby. Po pierwsze właśnie przez odmowę przywilejowania poszczególnych grup – to znaczy przez nie pozwalanie na wyjątki w stosowaniu prawa. Po drugie, stroniąc od nadmiernej legislacji: nie nakazując, nie zakazując, nie ulegając nieliberalnym rewindykacjom – lewicy ani prawicy. Taka odpowiedź może się wydawać niezadowolająca; istotnie, jest ona niezadowolająca. Innej jednak nie widzę. Możemy tylko zająć się „pracą od podstaw” w tak określonych prawnych ramach – w szanującym nade wszystko indywidualną wolność liberalnym państwie. Indywidualna wolność może nie jest – na pewno nie jest – wystarczającym warunkiem skutecznej ochrony kultur narodowych ani budowania wspólnoty, ale jest jej konieczną podstawą.